

# MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego

W Krakowie, Plac Maryacki L. 9  
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na miarę.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LEROUX

## BALAOO

KSIEGA I.

### Przestrach we wsi.

ROZDZIAŁ I.

Zbrodnia w gospodzie „Pod Czarnym Słońcem“.

1)

Była dziesiąta godzina wieczorem i oddawna już nie było żywej duszy na ulicach wsi Saint-Martin des Bois. Szczelnie zamknięte okiennice nie przepuszczały ani promyka światła. Wś wyglądała jak opuszczona. Zamknięci u siebie jeszcze przed nastaniem zmroku mieszkańcy nie zgodziliby się za nic w świecie stworzyć swych mieszkań przed świtem.

Zdawało się, że wszystko było pogrążone we śnie, gdy nagle na bruku ulicy Nowej rozległy się odgłosy licznych kroków. Miało się wrażenie biegnącej gromady ludzi i wkrótce można było rozróżnić głosy, krzyki, wołanie i poszczególne wykrzykniki ludzi, którzy niewiadomo skąd przybywali. Ani jedna okiennica, ani jedne drzwi nie otworzyły się na drodze tych hałaśliwych przyszyków. Bez wątpienia nie jedno ucho skrycie nasłuchiwało, nikt jednak nie wyjrzał. Będzie zawsze dosyć czasu, żeby dowiedzieć się na drugi dzień rano, co się stało.

Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem dwu morderstw, których ofiarą padli fryzjer Lombard i krawiec Camus, a którym towarzyszyły okoliczności po części tragiczne, a po części złowrogo komiczne, a zawsze niewytłumaczalne. Nikt nie ośmielił się spóźnić na drogach, gdzie zamożni wieśniacy, wracający z wielkich jarmarków w Clarendon i Thiers, byli napadani przez zamaskowanych bandytów, którym, pod groźbą śmierci, musieli oddawać wszystkie pieniądze. Kilka niezwykle śmiałych włamań, dokonanych w oczach właścicieli, którzy nie śmieli protestować, spowodowało dochodzenia sądowe, które jednak, prowadzone bardzo niedbale, nie dały żadnych rezultatów. Władze sądowe, źle informowane, nie okazywały więcej chęci do wykrycia zbrodni, niż ofiarę tychże do współdziałania w utrwaleniu bezpieczeństwa publicznego.

Wreszcie, gdy po nocnych napadach, pożarach, znacznych zbrodniach i innych zbrodniach — dokonano tych dwóch morderstw — władze postanowiły zbadać sprawę gruntownie. Poczęły grozić najwięcej onieśmielonym, żeby zmusić ich do mówienia. Ci jednakże daliby sobie raczej wyrwać język. Oczywiście, władze nie mogły dłużej nie wiedzieć, przeciwko komu były skierowane podejrzenia wszystkich, musiały jednak zaniechać zbierania dowodów, które mogłyby kogokolwiek obwinąć. I tajemnica ostatnich zbrodni zaciemniała się w coraz szczególniejszy sposób.

Szczytem zaś wszystkiego było to, iż obok strasznych gwałtów działy się rzeczy śmieszne — o tak nadzwyczajnym komizmie, iż przerażały więcej, niż same zamachy i zbrodnie. Uczciwi kupcy na środku ulicy Nowej otrzymywali policzki w taki sposób, iż nie mogli powiedzieć, skąd pada uderzenie. Zaalarmowani rozpaczliwymi krzykami sąsiedzi znaleźli matkę Toussaint, przedsiębiorczynię haftu, na własnym podwórzu, ze spodnicami zarzuconymi na głowę i ciałem zboliałym od strasznych plag. Nie dowiedzano się nigdy, kto się wcisnął na podwórze, ani jakim sposobem. Zdarzały się wypadki, które miały coś z czarów: pomimo drzwi i zamków, niektóre przedmioty — jedne lekkie i białe, bez żadnej wartości pozornej, inne znacznej wagi — znikły jak zaklęte. Pewnego poranku, zanny dr. Honorat, otwartyszy oczy, nie znalazł w swoim pokoju komody

i szafki nocnej. Coprawda spał przy otwartym oknie. Nie wniósł on skargi i zachował dla siebie swe ostupienie, zadawalniając się tylko opowiadaniem o dziwnym zdarzeniu przyjacielowi swemu, merowi Mr. Jules, któremu poradził zamykać okna na noc. Wkońcu nie śmiano przechodzić przez las, w którym się działy rzeczy tajemnicze... Ci, którzy wracali stamtąd, nie chwalili się niczem, ale też nie odważali się nigdy udawać w tamte strony. Była to, tak zwana w okolicy tajemnica „Czarnych lasów“.

Czyż nie dość już było tylu wypadków? Jakież nowy przestrach zmusił biednych ludzi z okolicy Cerdogne do przebiegania w nocy ul. Nowej, tak cichej zazwyczaj?

Pewna rzecz — z pozoru błaża, wypadek kolejowy, lub raczej zamach na życie podróżnych, jadących kolejką lokalną, która łączyła linie Belle-Etable i Moulins na pograniczu prowincji Bourbonnais, była przyczyną tego zamieszania.

Jakaś ręka zbrodnia popuła szyny u wylotu tunelu, wychodzącego na rzekę Cerdagne, i gdyby pociąg, który musiał przejść przez most, będący w naprawie, nie zwolnił znacznie biegu, katastrofa byłaby nieunikniona. Szczęściem, skończyło się na strachu i tylko wóz towarowy został zniszczony. Co do podróżnych w liczbie około dwudziestu, byli oni tak wstrząśnięci tym wypadkiem, że uciekli wprost przez pola, aż do Saint-Martin des Bois, alarmując wieś, pogrążoną we śnie. Z wyjątkiem dwóch, czy trzech, pochodzących z tej wsi, wszyscy inni udali się do małżonków Roubin, utrzymujących oberżę pod „Czarnym Słońcem“ na rogu placu merostwa i ulicy Nowej.

W oberży było kompletne zamieszanie. Podczas gdy jedni żądali pokoju, lub co najmniej łózka lub pościeli, inni unosili się nad niebezpieczeństwem, którego uniknęli. Otyła pani Roubion starała się zadowolić wszystkich, ale udawało się jej to z trudnością. Jeden materac o mało co nie został porwany na kawałki. Kiedy już od biedy wszyscy byli porozmieszczeni, zjawił się ostatni podróżny z obandażowanym czołem. Był to jedyny ranny.

— Cóż to, panie Patryku! Czy pan jest ranny? — zapytała pani Roubion troskliwie, wyciągając tłustą rękę do przybysza, młodzieńca lat dwudziestu pięciu, o łagodnej i sympatycznej powierzchowności, niebieskich oczach i wąsikach starannie zakreślonych.

— O, to tylko zadrapanie, nic poważnego, jutro nie będzie śladu. Czy ma pani dla mnie pokój?

— Pokój, panie Patryku? Został mi tylko bilard!

— Biorę bilard — rzekł młody człowiek z uśmiechem.

Wobec tego pani Roubion poszła zająć się p. Gustawem Blondel, komiwojażerem nowości pierwszorzędnej firmy Clermont-Ferrand, który w izbie stołowej urządził sobie postanie na stole, grożąc gospodyni śmiercią, jeżeli natychmiast nie da mu wałki pod głowę.

— Widzi pani, jest mi tu bardzo dobrze, lepiej, niż w sali bilardowej, gdzie te gaduły przeszkadzałyby mi spać. I czego oni właściwie wrzeszczą? Na co się skarżą?! Jeżeli wiedzą, kto jest sprawcą zamachu — niech powiedzą!

Usłyszawszy to — pani Roubion — pospieszyła zniknąć.

Właśnie wchodził do oberży aptekarz p. Sagnier. Uprzedzony przez mera — bohatersko wyrwał się z drżących ramion pięknej pani Sagnier i przyszedł proponując swe usługi. Nie znajdując nikogo do pielęgnowania, wpadł natychmiast w zły humor i przyłączył swe zdanie do najbardziej skrajnych, twierdząc, iż wobec takich zamachów, żaden uczciwy człowiek nie może mieszkać ani w Saint Martin des Bois, ani nawet w prowincji Cerdogne.

Tymczasem nadszedł pan Jules, mer, wraz z zannym doktorem Honorat. Wracali z dworka, gdzie

zebrali wśród urzędników kolejowych niezbite dowody, że został popełniony zamach. Obaj byli tak bladzi, jak gdyby uniknęli śmierci.

— Zuowu nieszczęście, panie merze — odrzekł Roubion.

— Tak — odrzekł p. Jules, głosem, który nie zdołał osiągnąć mocy. — Na szczęście nikogo nie straciliśmy.

Grobowe milczenie zapanowało po tych słowach. I nagle jakiś głos wykrzyknął:

— A mordercy? Kiedy nareszcie będą schwytani?

Wówczas nastąpił wybuch. Odezwały się oklaski i słowa zachęty dla tego, który to powiedział. Tamten jednak — jeden z wieśniaków — zamilkł. Zaczemienił się po uszy i unikał wzroku mera.

— Sąd zjeżdżał. Jeżeli ich znacie, dlaczegoście ich nie wskazali, ojcze Borel? — zapytał mer.

Ojciec Borel nie był wcale głupszy od innych, nie szukał długo odpowiedzi:

— Nie jesteśmy policją, ani merostwem. Każdy niech pilnuje swojego.

Nie można było wyciągnąć od nich innej odpowiedzi: „To nie należy do nas“.

Komisarzowi policji i sędziemu odpowiadali zawsze jednakowo: „To wasza rzecz — nie nasza! Rząd wam płaci za waszą umiejętność! Pracujcie na swoje pieniądze!“

Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem słów oia Borela, gdy się zjawił Gustaw Blondel. Komiwojażer usiadł na bilardzie, a założywszy ręce i patrząc prosto w twarz merowi — powiedział:

— Co pana tak zajmuje, panie merze? Trzeba być przygotowanym na wszystko w kraju, zamieszkałym przez ludzi, których nazwisko brzmi podobnie, jak słowo „hultaj“\*)

Szmer uznania i parę złośliwych śmiechów odezwały się natychmiast, ale wrażenie wywołane słowami Gustawa Blondela zostało zatarte przez nieoczekiwany wypadek. Śniechy ustały raptownie i wszyscy, trącąc się łokciami, spoglądali na nowego przyszyka, któremu robiono miejsce z niezwykłym pospiechem.

Nowoprzybyły ubrany był w złoty, aksamitny garnitur, wysokie kamasze do kolan; rozpięty kołnier koszuli odsłaniał szyję byka. Wypływały pilśniowy kapelusz, zesunięty na tył głowy, odsłaniał rudą, rozwichrzoną czuprynę. Wyraz twarzy był nadzwyczajnie energiczny i spokojny. Zielone oczy spoglądały na zgromadzonych, jakby ze znudzeniem. Osobnik ten, o szerokich ramionach, krępej postaci, był uosobieniem siły brutalnej. Wśród grobowego milczenia podszedł do komiwojażera i odezwał się głosem twardym i głuchym, w którym słychać było gniew poskramiiany:

— Vautrins, hultaje, powiadasz? Nie wstydz się, mój mały, wiesz, że nie jestem drażliwy.

Następnie zwrócił się do mera:

— Dobry wieczór, panie merze.

— Dobry wieczór, Hubercie...

I pan Jules zmuszony był uściśnąć wyciągniętą dłoń. Przybysz usadowił się w kącie koło pieca, w którym rozniecono ogień, i kazał podać sobie szklankę wina, które Roubion pospiesznie przyniósł. Po opróżnieniu szklanki, wytarł usta rękawem i zwrócił się do Blondela, rzekł:

— Oto jeszcze jeden taki, panie merze, który nie przetrwał ostatnich wyborów. Tylko, mój drogi, trzeba wiedzieć, co i kiedy należy mówić. Na zebraniach przedwyborczych można traktować ludzi jak ropuchy. Teraz jednak lepiej zachować spokój — nieprawdaż, panie merze?

Mer, zakłopotany, mruknął coś niewyraźnie. Komiwojażer nie poruszył się. W dalszym ciągu przy-

\*) Vauriens = hultaje. — Vautrins = nazwisko zbrodniarzy.